

Soundedit: Dźwięk nasz powszedni

Ambient to gatunek muzyki oparty na rozbudowywaniu plam dźwiękowych, gdzie ważniejsze jest brzmienie niż linearne rozwijanie linii melodycznej. Konstrukcja utworu jest otwarta, nie ma określonej struktury harmoniczej, powtarzalnego schematu. To muzyka postrzegana jako element otoczenia - na przykład kolor światła czy dźwięk deszczu - mówił pionier („odkrywca”) ambientu Brian Eno, legendarny producent i kompozytor. Właśnie muzykę z wydanej ostatnio wspólnej płyty braci „Mixing Colours” Roger zaprezentował w Radiu Łódź. Wykonał również fragmenty niepublikowane oraz improwizowane. Mieliśmy okazję usłyszeć je w pierwotnym kształcie, zagrane na fortepianie, bowiem na płycie zostały mocno przetworzone przez Briana, który pod nuty Rogera podłożył elektroniczne brzmienia i dodał efekty dźwiękowe. Ta transmisja, odbierana w zaciszu domowym jakże odpowiednim dla tego rodzaju przekazu (rozumianego jako tło życia codziennego, „mebel domowy”), w którym długie wybrzmiewanie i cisza są istotnymi środkami ekspresji, miała charakter półoficjalny, a nawet prywatny. Roger między jednym a drugim akordem pociągał łyk ciemnego piwa ze stojącego na fortepianie kieliszka, a liczba obserwujących na radiowym Facebooku dochodziła w porywach do dwudziestu kilku.

Muzyka i okoliczności budowały wyjątkowość przeżycia. W pozytywnym sensie, choć należałoby współczuć organizatorom Soundedit, kiedy budowany miesiącami (a czasem latami) program czterodniowej imprezy rujnuje pandemia. Trudno planować cokolwiek, bo nie wiadomo, co wydarzy się za parę dni, trudno festiwalowe propozycje promować. Koncerty, spotkania, wernisaże trzech wystaw fotograficznych i warsztaty trzeba było przenieść do internetu, a na widowni mogła się pojawić zaledwie garstka widzów słuchających i oklaskujących wykonawców. Ostatecznie trzy występy, spotkanie i część warsztatów obejrzałem na ekranie komputera, jeden występ na żywo w sali koncertowej w Wytwórni. Na szczęście relacje z części tych wydarzeń wciąż można zobaczyć na Facebooku festiwalu, a warsztaty (m.in. „Stereofonia i dźwięk dookólny”, „Miks i mastering utworu *Katana* Jana Serce”, „Transmisje audio-wideo - tanio i wykwinie” czy „Iluzje i paradoksy dźwiękowe”) dostępne są na kanale festiwalu na YouTube.

Festiwalowa sobotnia gala wypadła skromnie - statuetkę Człowieka ze Złotym Uchem odebrał Roli Mosimann, perkusista (współtworzył zespół Swans) i producent muzyczny (współpracował m.in. z New Order, Faith No More, Marilyn Manson) - drugi z zagranicznych gości, którzy dotarli - mimo pandemii - na tegoroczny Soundedit. Laureatem nagrody był także Jan Kanty Pawluśkiewicz, ale on pojawił się tylko na ekranie. Tradycyjnie podczas gali wystąpił zwycięzca konkursu dla obiecujących wykonawców organizowanego z Radiem Łódź Soundedit Spotlight (nie tak dawno triumfowała tu Daria Zawiałow). W tym roku publiczność wybrała łódzki zespół Heima, grający ciekawie zaaranżowany pop. Klimat utworów buduje przetworzone brzmienie gitary elektrycznej, syntezatorowe tło, ale przede wszystkim delikatnie grająca trąbka i wokalistka śpiewająca z dość popularną ostatnio manierą, którą określiłbym jako „senna kotka”. Miło się słucha tych lirycznych, łagodnych piosenek.

Clou wieczoru było jednak premierowe wykonanie nowej wersji kultowego debiutanckiego albumu zespołu Anawa założonego przez Marka Grechutę i Jana Kantego Pawluśkiewicza. W 50 lat po premierze projekt „Anawa 2020” na zamówienie Soundedit przygotował Wojciech Waglewski i Voo Voo z towarzyszeniem Kasai, Katarzyny Nosowskiej, Krzysztofa Zalewskiego i Spiętego. Wyszło tak jakby zespół Voo Voo opracował program na kolejną swoją płytę. Waglewski nie naśladował, nie usiłował podrabiać - przepuścił kompozycje Kantego przez własną wrażliwość muzyczną i opowiedział swoim językiem. Niełatwo odnaleźć pomnikowe, znane wszystkim wykonania w aranżacjach Waglewskiego, ale jest w tym sens, jest radość, trans. Ta muzyka nadal porywa, choć

nie ma tu Grechuty i jego niepodrabialnego wokalu. Wydaje się, że twórcy „Anawa 2020” przyświecało założenie, by koniecznie zaśpiewać inaczej niż w oryginale. Dlatego w kilku miejscach zmienił nawet delikatnie melodię, a wokaliści zaprezentowali te utwory po swojemu. Jak zawsze świetną robotę wykonał saksofonista Mateusz Pospieszalski. Wysłuchać tego koncertu na żywo to było duże przeżycie. Efekt pewnie mógł być lepszy, gdyby nie nagłośnienie. W intensywnych dźwiękowo momentach, gdy wszystkie instrumenty grały razem, brakowało selektywności. Dominował nieopanowany przez akustyka „hałas” perkusji, a brakowało basu. Wokal wydawał się przesterowany. Tak to odebrałem.

Zresztą nie najlepiej brzmiały też wcześniejsze koncerty drugiego dnia (czwartkowy koncert Baasch oraz sobotni Marka Almonda zostały odwołane). Piątek poświęcono wspomnieniu łódzkiego festiwalu Rockowisko. Pretekstem stał się film TVP z ostatniej edycji w 1986 roku, kiedy koncerty rockowe przestały już być samonapędzającym się biznesem dla organizatorów. Pokazane w filmie tak bardzo peerelowskie w duchu, naiwne dyskusje o kryzysie rocka w Polsce (udało się sprzedać „tylko” dwa tysiące biletów) oraz podest dla perkusji zbudowany z palet dzisiaj budzą uśmiech. Dawne czasy na Rockowisku w rozmowie z Piotrem Metzem wspominali Zbigniew Krzywański z Republiki i Ziemowit Kosmowski z łódzkiego Rendez-Vous – przedstawiciele ówczesnych gwiazd sceny rockowej. Potem pokazali, czym w muzyce zajmują się dzisiaj.

Zed Kosmofsky, który pojawił się na scenie jako pierwszy, to w zasadzie dopiero zarys projektu – Ziemek grający na ud i klarncie basowym, Tomek Mechu Wojciechowski na gitarze, Sławomir Macias szczoteczkami na werblu oraz „kobieta Ziemka” na bębenku. To, co wykonali (co było – jak się wydaje – efektem poszukiwań w estetyce etnicznej), według mnie w ogóle „nie zażarło”. Czuło się, że muzycy cały czas mają pod górę. Słabo opanowany ud i gitara sauté nie wytworzyły żadnej spójnej przestrzeni muzycznej, czegoś, co mogłoby ponieść słuchaczy. Do tego monotony, „beczący” wokal z angielskim tekstem (Ziemek postanowił w tej estetyce i w obcym języku „zniszczyć” swój największy przebój „Anne”). W tych pretensjonalnych i nieporadnych zagrywkach czasem pojawiał się przebłysk czegoś, czym ten projekt mógł być – zwłaszcza, kiedy Ziemek brał klarnet (z tym instrumentem szło mu trochę lepiej niż z ud) – gdyby został lepiej przemyślany i dopracowany.

Dużo bardziej profesjonalnie wypadł występ „Czarno-białe ślady” – Zbigniew Krzywański (gitara akustyczna), Jacek Bończyk (wokal, gitara klasyczna) i Kuba Nowak (bas) wykonali piosenki Republiki w programie, który ogrywają od kilku lat. Usłyszeliśmy wielkie przeboje w kameralnym wydaniu, zaskakująco inne, ale najczęściej niosące ducha tamtych, które mamy w pamięci. Wystarczyły znajome akordy, harmonie w wokalu, jakiś ozdobnik. Największe wrażenie zrobiła na mnie brawurowa (jak na te środki) interpretacja „Arktyki”. Ale i tu mogło być lepiej, gdyby nie problem z nagłośnieniem. W transmisji internetowej bardzo słabo słyszalny był bas, a to robi istotną różnicę, jeśli na scenie grają trzy instrumenty.

XII edycja Soundedit za nami. W pandemii festiwal był mniej widoczny, mniej spektakularny. Jednak tym niżej chylę czoła przed organizatorami, że mimo takich przeciwności losu udało się go przeprowadzić, że udało się zachować ciągłość. Brawa za inicjatywę „Anawa 2020” – tak tworzy się wydarzenia muzyczne, które przechodzą do historii. I jakim cudem Roger Eno zagrał w Łodzi?

Bogdan Sobieszek

Foto: Małgorzata Wojna / Soundedit